

Miasto duchów

KRZYSZTOF
BOCHUS

Miasto
duchów

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Ta książka jest fikcją literacką.
Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń
jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

*Mojej siostrze Teresie
poświęcam.*

Prolog

10 września 1944, Rotterdam

Anna zatoczyła kolejne kółko i pomachała do niego ręką. Rowerek skrzypiał niemiłosiernie, już dawno powinien go naoliwić. Podwórko było niewielkie, z okna wyglądało jak krowi placek: ciemny i nieregularny prostokąt oddzielony od ulicy równo przystrzyżonymi bukszpanami. Tylko w jednym rogu widniał pajacyk namalowany przez Annę kolorową kredą, którą wysępił dla niej na flohmarkcie w porcie. Nie wiedzieć czemu miał jedno oko trzy razy większe od drugiego i zielone uszy kontrastujące z resztą ciała. Mała pedałowała zawzięcie z głową pochyloną nad kierownicą. Co kilka okrążeń podnosiła oczy, sprawdzając, czy tata nadal podziwia, jak jego pięcioletnia córka radzi sobie na rowerku.

Uśmiechnął się do niej, a ona raz jeszcze pomachała do niego radośnie. Wrzesień był piękny tego roku. Pachniały świeżo przekopane rabaty kwiatowe, czuł zapach torfu i rozgrzanej ziemi. Ulicą przejechał szary furgon pocztowy niczym fantom przesłaniający jasną uliczkę.

W jakimś sensie to było teraz jego miejsce na ziemi. Tu zbudował dom, posadził drzewo i dał życie Annie. Przeszłość nie dawała jednak o sobie zapomnieć.

Odsunął się od okna i opadł na fotel. Pod powiekami ciągle miał obraz wczorajszej wizyty w rotterdamskiej siedzibie SS. Indagował go obersturmbanführer Schulz, młody fanatyk z gładko przylizanymi włosami i wypielegnowanymi, nieledwie kobiecymi dłońmi.

– W gruncie rzeczy jest pan dezserterem, Abell. Wazą się losy wojny, a pan, zamiast bronić Rzeszy, wiedzie wygodne życie rentiera.

– Niech pan się liczy ze słowami, Schulz. Jestem Niemcem. Gdybym nadal był w Kripo, przysługiwałby mi z automatu stopień oficerski wyższy od pańskiego.

– Ale już nie służy pan Führerowi, Abell. W tym rzecz.

– To moja sprawa. I wie pan, że na wyjazd z Gdańska miałem zgodę najwyższych czynników.

– I to właśnie nas zastanawia... Po zamachu na Führera wiele się jednak zmieniło, Abell. Dopadniemy zdrajców wbijających nam nóż w plecy, tych wszystkich skurwysynów z monoklem w oku, wrogów Rzeszy i dekowników! Wypalimy tę zarazę ogniem i żelazem, także tu, w Rotterdamie!

– Nie wątpię. Zastanawia mnie tylko, dlaczego zaczyna pan tę krucjatę ode mnie tu, na głębokich tyłach frontu. Może powinien pan zgłosić się na ochotnika na front wschodni?

– Igrasz z ogniem, Abell. – Na twarzy Schulza wykwitły czerwone plamy. – Mam cię na oku! Znam twoje akta i wiem, jaką postawę prezentowałeś w Gdańsku! Nie zapomnę o tobie!

Po wyjściu z rezydentury SS długo próbował się uspokoić. Gróżb Schulza nie należało lekceważyć. Przeciwnie. Ci ludzie mieli długie ręce i od lat czuł ich miecz nad swoją głową. Do tej pory im się wymykał, ale jak długo jeszcze?

Kim w istocie był? Ludzkim pyłkiem, hamletyzującą jednostką próbującą ratować własną duszę i niemającą żadnych szans w starciu z bezwzględnie mielącymi żarnami wojny? Dopóki naziści wygrywali wojnę, pozostawał na marginesie ich zainteresowania. Teraz jednak, gdy dogorywali w zaciskających się imadłach aliantów, do rangi głównego przeciwnika awansowali wrogowie wewnętrzni: tacy jak on. Ci wszyscy defetyści, pacyfiści i moraliści, którzy stanowili wyrzut sumienia ludzi mających ręce po łokcie unurzane we krwi. Jeśli tysiącletnia Rzesza miała się rozsytać w pył, to pod jej gruzami mieli zginąć solidarnie wszyscy Niemcy, bez wyjątku. Hitler zapowiedział to przecież wyraźnie.

Z tych ciężkich myśli wyrwało go wrażenie, że coś nagle się zmieniło. Przez chwilę siedział zdezorientowany. Co to było? Potrzebował sekundy, aby uświadomić sobie, że nie słyszy skrzypienia roweru. Ania upadła? Dlaczego nie płacze? Poderwał się do okna i wyjrzał na zewnątrz. Podwórko było puste. Nagle ciche i osamotnione. Przewrócony rower leżał na ziemi. Jedno z kół kręciło się jeszcze w równym rytmie, tak jakby napędzało je jakieś niewidoczne *perpetuum mobile*. Nigdzie nie było Anny.

To był ten ostatni raz, kiedy ją widział.

Rozdział I

List z Gdańska

1.

1 października 1944, Gotenhafen

Do ilu razy sztuka? Wezwano go do wyjaśnienia zagadki tajemniczego zabójstwa, a na dzień dobry miał przed sobą drugiego trupa. Szybkie tempo, nawet jak na jesień koszmarnego roku 1944. I na Gdańsk, w którym zeszywniałe od mrozu zwłoki powieszonych defetystów wisiały na latarniach jak kielbasy w witrynie sklepu rzeźniczego. Przez przymknięte okno garsoniery przenikał odór ropy i spalonego żelastwa. Ale nawet on nie był w stanie przytłumić słodkiego zapachu krwi, tego charakterystycznego zwiastu na gwałtu i czyjegoś nieszczęścia.

Abell w milczeniu wysłuchał meldunku Mosbachera, podoficera, który czekał na niego w domu ofiary. Komandor* Erwin Ramm mieszkał samotnie. Żona i rodzina pozostały w Münster. Jednorodzinny dom w Hochredlau nie był strzeżony, nie było takiej potrzeby. Już w 1940 roku wysiedlono stąd wszystkich Polaków, Gotenhafen miało być modelowym niemieckim miastem. W tej okolicy mieszkali wyłącznie wyżsi rangą wojskowi i administracja portu wojennego. Alarm wszczął szofer komandora, który,

*Dla ułatwienia w książce stosowany jest tytuł komandora, stanowiący odpowiednik zgodnego z nomenklaturą służbową Kriegsmarine stopnia *Kapitän zur See*.

jak zawsze, przyjechał po niego o ósmej rano, aby zawieźć go do komendantury. Zaniepokojony przedłużającym się oczekiwaniem zajrzał przez okno na parterze i ujrzał ślady walki oraz połamane sprzęty. Wezwał policję i czekał przy wejściu. Nikogo przed domem nie widział. Nic innego nie zauważył. Nie, nie wchodził do środka. Już złożył zeznanie, będzie w aktach sprawy...

Abell podszedł do otomany, na której bezwładnie spoczywał trup. Komandor Erwin Ramm w swoją ostatnią podróż wybrał się zapięty na ostatni guzik. Świeżo wyprasowany mundur pozbawiony był jednej zbędnej fałdki. Do piersi przypięte miał wszystkie swoje odznaczenia bojowe. Abell dostrzegł wśród nich Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego, a także tarczę Narvik. Tylko jeden szczegół psuł tę harmonię: asymetryczna dziura w czole, oznaczona zygzakiem świeżej krwi zastygłej na garbatym nosie. Pistolet, z którego zapewne oddano strzał, leżał na podłodze.

Abell przymknął oczy, próbując wyobrazić sobie ostatnie chwile komandora. Wybierał się do dowództwa? Ubrał się w galowy mundur, przypiął odznaczenia bojowe i stanął przed lustrem, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku? To raczej niemożliwe; sądząc po plamach opadowych na ciele, do zabójstwa musiało dojść późnym wieczorem, dzień wcześniej. Kolejna wątpliwość: morderca był już w środku czy komandor sam go wpuścił? Nie było śladów włamania, a więc pukał ktoś, kogo Ramm dobrze znał. Kto?

Potrzasnął głową. Zbyt wiele rzeczy się tu nie zgadzało. Poza jedną: pobojowisko w pokoju świadczyło o tym, że to nie było samobójstwo. Jeszcze raz omiółt spojrzeniem połamane krzesła, wybebeszone szuflady z przepastnej szafy, ściągniętą serwetę ze stołu i roztrzaskaną na tysiąc kawałków kryształową karafkę z resztką koniaku na dnie. Więc

jak to się odbyło? Morderca niepostrzeżenie dostał się do mieszkania komandora, doszło do walki wręcz i demolki garsoniery. Padł strzał. Śmierć musiała być natychmiastowa. A potem sprawca lub sprawcy ułożyli trupa na otomanie, ubrali w galowy mundur i przypięli wszystkie jego bojowe odznaczenia? Na litość boską, w jakim celu?!

– Wygląda, jakby wybierał się na paradę zwycięstwa – powiedział Kukulka, który właśnie skończył przeszukiwać kuchnię. – Tylko tej wiktorii jakoś nie widać.

– Przeszukajcie dokładnie to mieszkanie – powiedział Abell. – Zerwijcie podłogę, zajrzyjcie w każdą mysią dziurę, przekopcie ogród.

– Teraz, w zimie? – skrzywił się Mosbacher.

– Nie, kurwa, poczekamy, aż się ociepli. Podobno maj w czterdziestym piątym ma być bardzo ładny. Słyszałeś rozkaz pana radcy – warknął Kukulka.

– Czego mamy szukać? – Mosbacher wyraźnie spuścił z tonu.

– Tego samego co mordercy. Po coś przecież tu przyszli. I mam nadzieję, że tego nie znaleźli – powiedział Abell. – Gdzie lekarz?

– W drodze.

– Jutro rano chcę mieć na biurku raport z sekcji zwłok. Aha, przepytajcie najbliższych sąsiadów. Zapytajcie na posterunku Schupo*, widziałem wartownika dwie przecznice stąd. Może coś zauważyli, być może jakiś samochód, który nie należał do stałych mieszkańców. Jadę do komendatury bazy, wrócę za dwie godziny. Do roboty!

Uznał, że nic tu po nim. Poza tym czekał na niego kontradmirał Sorge i Abell zdawał sobie sprawę, że nie będzie to łatwa rozmowa.

* Schutzpolizei – niemiecka policja porządkowa.